



ALEKSANDRA SELIGA

GOŁOBORZE

—  TOM 3  —

STARUCHA



ALEKSANDRA SELIGA

GOŁOBORZE

—  TOM 3  —

STARUCHA



Redaktorka prowadząca: Marta Budnik
Wydawczyni: Agnieszka Fiedorowicz
Redakcja: Anna Brzezińska
Korekta: Katarzyna Kusojć
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski
Zdjęcie na okładce: © Daunhijauxx,
© Richard Laschon / Stock.Adobe.com
Wyklejka: © LP Design / Stock.Adobe.com
DTP: pagegraph.pl

Copyright © 2024 by Aleksandra Seliga

Copyright © 2024, Wydawnictwo Kobiectwo
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2024
ISBN 978-83-8321-814-4

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Wiatr mnie pędzi po drogach,
wiatr, bóstwo odmiany
o dmuchających policzkach.

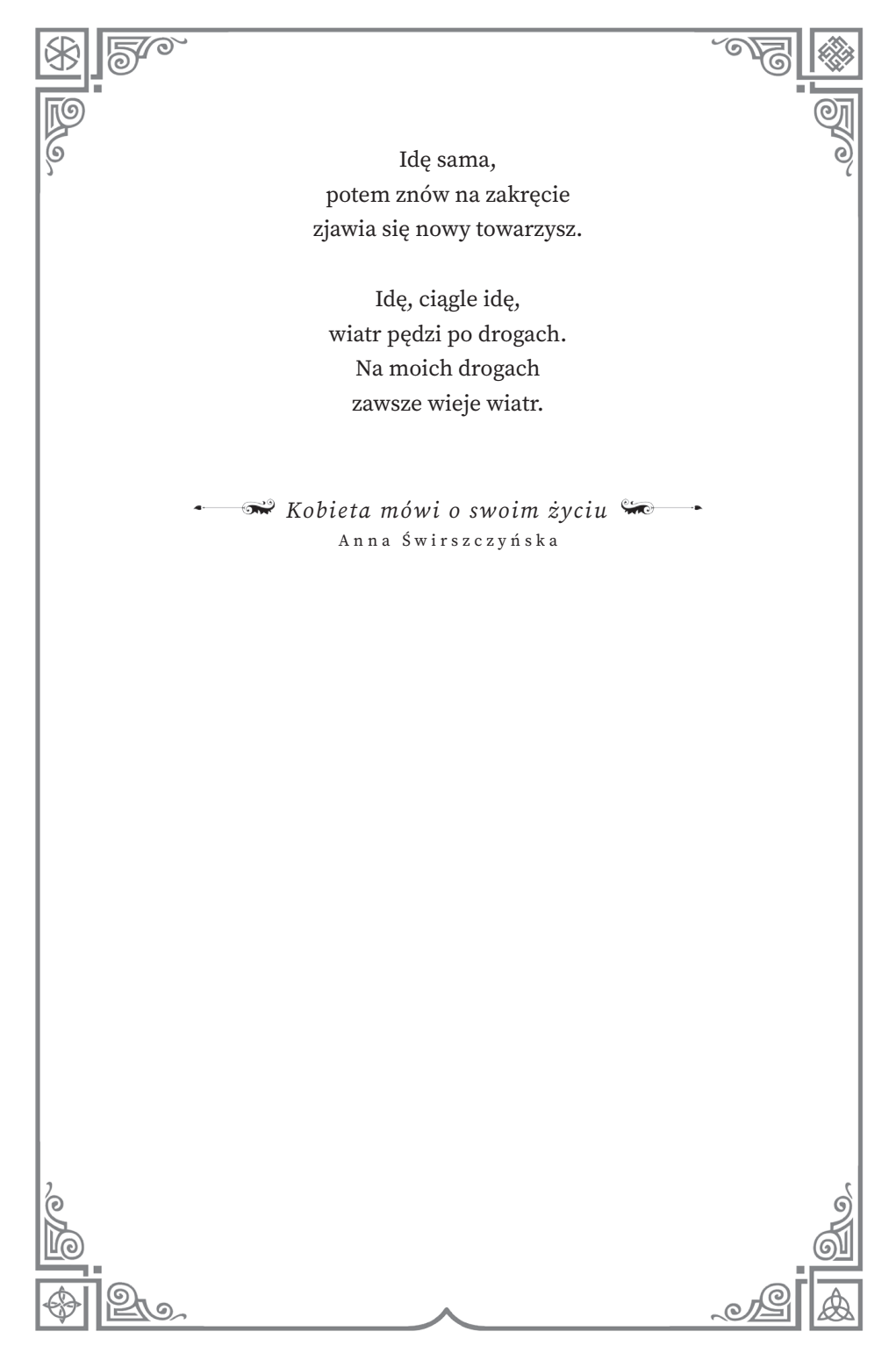
Kocham ten wiatr,
cieszę się
odmianom.

Chodzę po świecie
we dwoje albo sama
i miłe są jednakowo
tęsknota i śmierć tęsknoty,
która nazywa się spełnienie.

Czegoś jest we mnie za dużo.
Przelewam się przez brzegi
jak drożdże. Drożdże mają
swój własny rodzaj szczęścia.



Idę, ciągle idę,
czasem przyłącza się do mnie mężczyzna.

Idziemy razem,
on mówi, że to do śmierci,
potem gubi się o zmroku
jak rzecz nieważna.



Idę sama,
potem znów na zakręcie
zjawia się nowy towarzysz.

Idę, ciągle idę,
wiatr pędzi po drogach.
Na moich drogach
zawsze wieje wiatr.

←  *Kobieta mówi o swoim życiu*  →
Anna Świrszczyńska



Pewnego mroźnego styczniowego popołudnia weszłam do kuchni i poczułam zapach swojej babki. Była to osobliwa, trochę miła, a trochę budząca wstręt mieszanka potu, charakterystycznej woni starszych ludzi – może ma to coś wspólnego ze zwiotczałą skórą, gospodarką hormonalną? – tanich, kwiatowych perfum i drożdżowego ciasta. Wdychałam woń dłuższą chwilę, po czym dotarło do mnie, że przecież to nie może być zapach mojej babki – moja babka nie żyje od czterdziestu lat. A więc...

To był mój zapach.

Stałam tak – trochę zdziwiona, a trochę przerażona – przez dłuższą chwilę, zadając sobie to pytanie, to ponadczasowe pytanie, które stawia prędzej czy później każdy w moim wieku.

Kiedy się zestarzałam?

Przecież tak niedawno byłam jeszcze młodą, pełną wigoru dziewczyną: zmysłową, gorącą, odważną, która nie bała się wykrzyknąć światu, co o nim myśli. Kiedy zmieniałam się w to, czym jestem teraz – pomarszczoną, obolałą, tłustą staruchę, która nie poznawała własnego ciała wiecznie odmawiającego jej posłuszeństwa? Ten zapach... Pachniałam starym człowiekiem. Tego zapachu brzydzą się nastolatki w autobusach, unikają go nienagannie

ubrani urzędnicy w bankach, stronią od niego młodzi lekarze, świat wystrzega się jak morowego powietrza.

Spojrzałam w dół na swoje stopy. Opuchlizna była dotkliwa i aż nazbyt widoczna, rozlatujący się kapeć okalał ciasno obrzękłą kostkę, krąglącą się pod brązową podkolanówką przeciwżyłkową. Dawniej nazywałyśmy to z koleżankami „antygwaltki”. Dlaczego? Bo gdyby jakiś mężczyzna chciał cię dotknąć, uciekłby po znalezieniu pod spódnicą tych obrzydliwych, kończących się na kolanie pończoch starych bab. A teraz po prostu musiałam je nosić – moje stopy były tak spuchnięte, że nie nadawały się do skarpetek. A do tego te haluksy. Miałam, po dziadku, haluksy małego palca, zwane deformacją *bunionette* bądź kostką krawca. Noszenie skarpetek i wąskiego obuwia sprawiało mi ból.

Usiadłam ciężko za okrągłym dębowym stołem i sięgnęłam po kawałek ciasta. Ledwo mieściłam się w krześle, taka byłam gruba. Spacery na Łysą Górę nie sprawiały mi już przyjemności. Męczyłam się w połowie drogi, z trudem łapiąc oddech. Dlatego ostatnio zaszywałam się w domu i wychodziłam z rzadka. Czasem przychodzili do mnie klienci, żeby postawić im karty: kobiety, mężczyźni, sporo nastolatek. Biedni, bogaci, wysoko postawieni lub nic nieznaczący – każdy chciał wiedzieć, co go czeka, a moje wróżby zawsze się sprawdzały. To była jednak jedyna magiczna czynność, jaką się parałam. Dawno temu postanowiłam sobie już nigdy nie zajmować się zaklęciami, nie odprawiać żadnych rytuałów, nie czarować.

– Do kitu – powiedziała Svetlana, wypijając kieliszek nalewki i głośno odstawiając go na blat. – Beznadinist.

Spojrzałam na nią zza stołu, przeżułam do końca kawałek drożdżowego ciasta i skrzywiłam się, mamrocząc.

– Co? Nie taki miał być koniec Nawojki z Łazów, wielkiej Soity, szamanki kultury przeworskiej? Rozczarowani, że stała się starą, zrzedliwą babą, która mieszka w rozwalonym, zatęchłym domu

z cegieł o eternitowym, dziurawym dachu i każe sobie płacić za stawianie tarota?

Svetlana roześmiała się gardłowo. Potem długo milczyłyśmy, zadumane nad tym, co przed chwilą powiedziałam.

– A jak twój syn? – spytała po chwili.

– Jak zwykle. Ma mnie w nosie, dba tylko o pomnożenie majątku i o swoje zasrane konie – sarknęłam i uzupełniłam nasze kiełiszki kolejną porcją nalewki domowej roboty.

Kiedy byłyśmy młode, chciało nam się walczyć, wojować, wysłać na śmierć i samemu ginąć w obronie Starej Wiary. Teraz to co innego. Lubię ugotować coś dobrego, najeść się i popatrzeć, jak za oknem śnieg pada na zwirowaną drogę Łazów. Na skrzyżowaniu niedaleko mojego domu kończy się bowiem asfalt. Dalej za jezdnią są już rozległe stoki Gór Świętokrzyskich, teraz w styczniu – białe jak mleko. Musiałabym oszaleć, żeby znów przyłączyć się do tej przeklętej walki Bogów.

– On mógłby poslatu kohoś do sprzątania. Widziałaś swoje okna? – Svetlana sięgnęła po kawałek ciasta. Była tak samo gruba jak ja.

– Widziałaś swój ukraiński nochol? No to nie wsadzaj go w nie swoje sprawy – odparłam zgryźliwie. Zerknęłam jednak na okna – oczywiście miała rację. Były brudne, jak wszystko w domu. Okopcone, zakurzone i zatłuszczone. Stare meble, do których przywiązałam się tak mocno, że nie chciałam słyszeć o innych; stare, pożółkłe firanki, kuchenne dekoracje z czosnku pamiętające czasy PRL-u, poplamiony marokański dywan, który kiedyś przywiózł Janek z jednej ze swoich licznych wielkich wypraw. Setki zdjęć Olgierda i Nawojki na ścianach ze starą, złuszczającą się tapetą, kilkanaście dużych fotografii wykonanych przez Janka w zamorskich krainach, fajansowe zakurzone figurki. Biała porcelanowa kura służąca do chowania biżuterii i drobiazgów, w której leżał mój arcykapłański naszyjnik. Nawojka lubiła się nim bawić, dawniej, dwadzieścia lat temu, kiedy była mała. Jak o tym pomyślałam, od

razu zatęskniłam za wnuczką. Nie była tu chyba od wakacji. Teraz to przecież wielka pani doktor.

– Ne sierdż się, sestra. Dawaj wypijemo ostatni raz. Meni treba iść. – Svetlana przerwała moje rozmyślenia i przesłała mi pomarszczony uśmiech, w którym błysnął złoty ząb wstawiony jeszcze w Ukrainie.

Spojrzałam na duży zegar ścienny odziedziczony po dziadku, po tym dziadku od haluksów i od innych mebli, w tym od dębowego stołu.

– Masz rację, niedługo musisz wychodzić, bo w końcu zrobi się ciemno i dopadną cię łysogórskie zmary.

Roześmiałyśmy się kwaśno. Obie wiedziałyśmy, że nie ma już prawie żadnych łysogórskich zmor i jedyne, co może się stać, to konieczność spaceru po ciemku w styczniowym mrozie, a w Łazach nie było chodnika, tylko wąska, oblodzona jezdnia. Napiliśmy się i Svetlana wstała, podnosząc swój wielki ukraiński zad ze starego krzesła. Pachniała podobnie jak ja, z tą różnicą, że od niej czuć już było nalewką, fioletową płukanką do siwych włosów i cerkiewnym kadzidłem, którym przesiąkły wszystkie jej swetry, a które sprowadzała sobie z Ukrainy i paliła w mieszkaniu, a czasami nawet w swoim sklepie.

– Do pobaczennja! – rzuciła na odchodne, wcisnęła na głowę beret i wyszła mimo śnieżycy, kuląc się ciasno w tanim palcie z lumpeksu. Przez chwilę obserwowałam ją, stojąc w otwartych drzwiach, po czym zamknęłam się w domu i wróciłam do stołu, siadając z westchnieniem.



– Bo mama nigdy nie chce pieniędzy! Kupiłbym mamie porządną komórkę, a nie tę starą cegłę, co ciągle się psuje i bez przerwy trzeba ją ładować! – usłyszałam w słuchawce rzeczony głos telefonu.

– Nie ma mowy – odparłam. – Nie umiem, nie znam się, nie chcę. Nie nauczę się obsługi nowego.

Po drugiej stronie rozległo się przekleństwo. Z nerwów skierowałam kroki w stronę lodówki, ale przypomniało mi się, że kabel do ładowania mojego telefonu jest za krótki, a gdybym go odłączyła, mogłabym nie porozmawiać dłużej z synem.

– Olgierd, wpadnij do mnie z Nawojką, tak dawno się nie widzieliśmy – powiedziałam cicho, chociaż od razu się na siebie zezłościłam. Nienawidziłam go o to prosić, żebrać o spotkanie. W święta nawet słowem się nie odezwałam, gdy obwieścił, że leci na Malediwy i nie będzie go na Wigilii. Nawojka wzięła dyżur w szpitalu i też jej nie było. Dobrze, że miałam moje małe kółeczko starych wariatek.

– Czy mama nie wie, że ja w styczniu mam istne urwanie głowy? Wszystkie pokoje i domki wynajęte, w sobotę kulig organizuję, przyjeżdża grupa turystów z Niemiec. Oni lubią te klimaty słowiańskiej wsi, agroturystykę, stare góry...

– Tak, tak. Oczywiście. Innym razem. A Nawojka?

– No to już mama musi z nią gadać, zadzwonić do niej – przerwał. – A jak zdrowie? Jak nogi?

– Kolana mnie boją. Trochę ciężko do sklepu chodzić w śnieżyce – powiedziałam z nadzieją, że może w takim razie wpadnie z zakupami.

– To sobie mama online zamówi. Pod drzwi przyniosą. Albo przyślę chłopaków z hotelu, pomogą, podwiozą – mówił od niechcienia rozkojarzony Olgierd, a ja wiedziałam, że jednocześnie robi coś innego.

– Słyszę, że jesteś zajęty. Może potem oddzwonisz? – spytałam.

– Jasne, jasne. Niech mama poczeka – odpowiedział i rozłączył się. Byłam pewna, że nie zadzwoni po raz drugi.

Zamieszałam kawę w kubku, który dostałam od Hanki na urodziny. Był w kształcie kociołka czarownicy, czarny, pękaty,

na trzech nóżkach. Dowcipnisia. Fusy wzburzyły się od mieszania i wiedziałam, że będą nieprzyjemnie osadzać się na języku podczas picia, smakować bagnem. Miałam pomarszczone dłonie i przedramiona pełne brązowych pieprzyków. Pierścionki wrzyły się w opuchnięte palce o przerośniętych kostkach, powyginanych z powodu gościa. O bogowie. Starość była koszmarna. Ileż to razy w przeszłości przyglądałam się mojej babce Miele, kiedy byłam małą Nawojką, brzydząc się tych wszystkich oznak podeszłego wieku: zgarbionych pleców, smrodu, powykrzywianych kończyn...? Ile razy współczułam Żegocince, będąc młodą matką, Brygidą? A teraz to mnie dzieciaki przeżywały Babą Jagą, to mnie unikano jako zrzędlivej jędzy. Ale jak nie zrzędzić, jak nie narzekać, kiedy wszystko boli, kiedy każda kończyna odmawia posłuszeństwa, kiedy człowiek z gorzką pewnością czuje, że jego dawne życie, cele, pragnienia bezpowrotnie minęły, a wraz z nimi minęła energia na robienie czegokolwiek? Jak nie zrzędzić, gdy wszystko irtuje: bogaty syn dorobkiewicz mający cię teraz w nosie, uczona wnuczka zaglądnąca z rzadka, pyszałkowata młodzież codziennie wyrzaskująca coś na ulicy Szkolnej, która biegła przez Łazy nieopodal mojego starego domu? Jak nie narzekać, gdy wszystko tutaj, wokół mnie, rozpada się jak ja sama: meble, firanki, obrusy, dywany, a nawet strop? I to nie był żaden klimatyczny, drewniany domek wiejskiej czarownicy, o nie! To była chałupa z lat pięćdziesiątych o rakotwórczym, brzydkim dachu, zarośniętym, zaśmieconym ogrodzie, w którym nie chciało mi się nic uprawiać, otoczona zwykłą drucianą siatką, nie drewnianym płotkiem o magicznych sztachetach, na których można wznieść się w powietrze.

Siedziałam przy stole zgarbiona, obolała i patrzyłam na śpiącą za oknem śnieg, a z trzeszczącego radia dolatywały dźwięki *Stabat Mater (dolorosa)* grane przez Program Drugi Polskiego Radia, moją ulubioną stację. I to już? Tak to się miało skończyć? Soita, wielka kapłanka, Soita, wielka buntowniczką? Cóż, sama przecież

powiedziałam Welesowi, żeby nie mieszał się w moje życie. Dotrzymał słowa i nigdy więcej niczego ode mnie nie chciał. W tym wcieleniu nie prowadziłam wojen, nie przeżywałam wielkich tragedii i „za miliony nie cierpiałam katuszy”. Teraz miałam wnuczkę, Nawojkę. Całe życie ciężko pracowałam, a na starość, schorowana i samotna, mieszkałam znów w Łazach, tak jak Mieła dziewięć wieków temu. Koło zatoczyło pełen obrót. Tyle że nie byłam wielką znachorką, a wnuczka nie była moją uczennicą. Kończyłam życie jako zwykła emerytka, która spotyka się z przyjaciółkami w sabaty i czasem postawi karty za pięćdziesiąt złotych, a Nawojeczka właśnie zdała państwowy egzamin specjalizacyjny i została psychiatrą. Nie w głowie miała te stare bajania o bogach, te legendy, gminne opowieści i zabobony... Era czarownic odeszła w przeszłość, ustąpiła miejsca Nauce. Tak samo zresztą jak era Kościoła. Na koniec dnia wszyscy przegraliśmy, co powiedział mi kiedyś Hubert. Sieciech.

Z rozmyślań wyrwało mnie głośnie pukanie.

O wilku mowa, a wilk tu! Intuicja od razu podpowiedziała mi, że w odwiedziny przychodzi mój brat. Podniosłam się ciężko, powoli, z jęknięciem. Rwało w plecach, gdzieś w dole, przy nerkach. Jedna stopa kłuła, gdy ostrożnie stawiałam kroki w stronę drzwi. Dla pewności wyjrzałam przez judasza. Na starość człowiek robi się nieufny i płochliwy. Po drugiej stronie zobaczyłam zniekształconą twarz Emanuela, jak teraz kazał nazywać siebie Sieciech.

– Emanuel w niskości – sarknęłam pod nosem, otwierając drzwi.

– Dobrusiu! Wpuść mnie, bo wieje jak diabli! – wykrzyczał przez styczniową śnieżycę.

– Diabli to ciebie nadali – odburknęłam, ale i tak odsunęłam się, by mógł wejść. Otrzeptał buty na wycieraczkę, zdjął śmieszny sobolową czapę, która miała chyba imitować nakrycie głowy syberyjskiego szamana, po czym uściśnął mnie serdecznie.

– Przesyłam ci pozytywną energię, światło i miłość... – zaczął, ale przerwałam mu prychnięciem i poczłapałam w stronę kuchni.

– Skończ już z tym ezopieprzeniem – powiedziałam. – Jak ja tego nie znoszę!

– Ty nie znosisz wszystkiego i wszystkich – odparł z uśmiechem. – Nie martw się jednak, siostrzyczko, Wszechświat ma dla ciebie plan, ma plan dla każdej żywej istoty.

– Czego chcesz? – spytałam podejrzliwie. Emanuel otworzył lodówkę i wyciągnął z niej banana, którego dokładnie obejrzał z każdej strony.

– Nie masz więcej owoców? Albo warzyw? Wiesz, że nie jadłam mięsa. Przeszkadza w osiągnięciu oświecenia, moja duszko. A poza tym jest niezdrowe. Tak źle się odżywasz! – powiedział łagodnie. Usiadł przy stole, podkasał rękawy jakiejś dziwacznej, psychodelicznej koszuli i zaczął obierać mojego banana.

– Czego chcesz? – powtórzyłam pytanie.

Młasnął i odchrząknął.

– Tysiąc złotych.

– Co? – prychnęłam oburzona. – Żartujesz? Sama ledwo wiązę koniec z końcem. Wiesz, ile teraz kosztuje prąd?

– Dobrusiu, daj spokój. Nie unos się tak, psujesz vibracje miłości, z którymi tu przybywam. Poza tym... Ty przecież masz Olgierda, to krezus! Nie pozwoli ci zginać z głodu. Wiesz, że w tym roku powiększył stadninę? Widzieliśmy z plemieniem podczas rytuału Yule.

Potarłam twarz dłońmi. O bogowie, Emanuel.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że nigdy nie biorę pieniędzy od syna? Dlaczego ty do niego nie pójdziesz, żeby zasponsorował tę twoją sektę? – spytałam, patrząc, jak je mojego banana, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Duszko, to jest plemię, nie sekta. Prowadzę ich do oświecenia, nirwany! A co do Olgierda, to dobrze wiesz, jakie jest jego

podejście do spraw ważnych. Wiesz, duchowości, zbawienia, metafizyki, wspólnoty... On myśli tylko o pieniądzach, nie rozumie mojej misji. Ale ty... Ty to co innego! Jesteś przecież kapłanką, zawsze byłaś. Tobie moje apostołstwo nie jest obce, ty powinnaś rozumieć. Twoja obecność na naszych rytuałach wiele by wniosła do naszej grupy.

– Nie, nie i jeszcze raz nie. Od lat ci tłumaczę, że mierzi mnie ten cały New Age, ta współczesna ezoteryka.

Emanuel wrzucił skórkę od banana do doniczki z rachitycznym kwiatkiem, który stał na oknie.

– Nie wyrzucaj, duszko, będzie na kompost do naszego permakulturowego gospodarstwa... Tak czy siak, co do tego tysiąca złotych – odchrząknął. – Dałabyś radę?

– Po co ci? – spytałam, a błysk w jego oczach świadczył o tym, że już ma się za zwycięzcę, bo przykuł moją uwagę.

– Organizuję festiwal leczenia kryształami. To będzie wielka, wspaniała rzecz, inwestycja się zwróci, zobaczysz. Jeremiasz rozgłosi go w internecie, na social mediach wspólnoty, wszędzie, w całej Polsce. „Uzdrawianie kryształami pod Łysą Górą”, takie wydarzenie. Tylko wiesz, musimy kupić te kryształy – rzucił. Przemawiał łagodnie, lecz jednocześnie z zaangażowaniem. Jego łysy, pomarszczony łeb błyszczał w świetle żarówek z zapalonego żyrandola. Wiedziałam, że Jeremiasz był partnerem mojego brata młodszym o jakieś dwadzieścia lat, i miałam nadzieję, że Emanuel traktuje go poważnie. Razem przewodzili tej szalonej grupie ezopopaprańców grasujących w Górach Świętokrzyskich. Wstyd mi było, że sama wróżę z tarota, kiedy patrzyłam na to ich „plemię”, złożone głównie z bogatych, bananowych pracowników korporacji szukających duchowości rozpiętej gdzieś pomiędzy coachingiem a luksusowym wyjazdem na Bali, „wyspę bogów”. A jednak mój brat, prorok, przywódca, był wiecznie biedny. I chyba rzeczywiście wierzył w swoją „misję”, poselstwo. Nawojka mawiała:

„Babciu, wujek się w to wkręcił”, i miała na myśli, że traktował poważnie tę działalność. Nigdy nie był dobrym biznesmenem, tak samo jak ja. Olgierd musiał wdać się w ojca. Popatrzyłam w jego brązowe oczy i złagodniałam, zmieniłam ton.

– Ech... Niech będzie. Ale dam ci pięćset złotych. Zwróci się albo nie – powiedziałam tonem, jakim przemawia cierpliwa przedszkolanka do pięciolatka.

– Dobruniu, duszko – odparł wzruszony. – A dołączysz do nas? Przyjdiesz na rytuał Imbolg? – zaryzykował.

– Nie! A tak w ogóle źle wymawiasz tę nazwę – powiedziałam z przekąsem, wracając do starego, zgryźliwego tonu. Wstałam od stołu, sięgnęłam do doniczki po wepchniętą przez niego skórkę od banana, teraz całą w ziemi, a potem poszłam do kuchni, by wywalić ją do kosza. W dużym słoju na górnej półce, schowanym za mąkami i cukrem pudrem, wepchnięte były stuzłotówki. Odliczyłam pięć i wróciłam do pokoju, wkładając mu je w dłoń.

– Proszę cię, tylko zorganizuj ten kurs. Nie wydaj na LSD albo grzyby. To już nie są lata siedemdziesiąte, Emanuel. Świat się zmienił.

– *Au contraire*, Dobruniu, świat jest zupełnie taki sam jak wtedy, a pod tym kątem, o którym wspomniałaś, nawet lepszy. Era Wodnika otworzyła ludziom oczy na wyższe wymiary...


– Emanuel!


– Dobrze, dobrze. Oczywiście, że kupię za to kryształ. – Spojrzał na moją podniesioną brew. – I mówiąc to, nie mam na myśli żadnych narkotyków.




*Sięgnij po
więcej!*



 www.wydawnictwokobiece.pl

 [kobiece](https://www.facebook.com/kobiece)

 [wydawnictwo.kobiece](https://www.instagram.com/wydawnictwo.kobiece)